

„Wypoczynek to największe z dóbr” – mawiał Sokrates, a Waldek w stu procentach zgadzał się ze słowami filozofa. Już od dłuższego czasu marzył o wypoczynku na łonie natury. Chciał zapomnieć o klasówkach, ocenach, radach pedagogicznych i elektronicznym dzienniku. Marzył o założeniu kąpielówek i leniwym wygrzewaniu się w promieniach słońca. No dobrze, tylko gdzie w tym roku? Grecja, Hiszpania, Włochy a może Wyspy Kanaryjskie? Renata miała na ten temat własne zdanie:

– W dobie koronawirusa najbezpieczniej będzie odpocząć nad polskim morzem – zdecydowała.

Dobrze, niech będzie Bałtyk. Waldek porzucił marzenia o lazurowej, ciepłej wodzie, palmach i drinkach w basenie. Gdziekolwiek, byle z dala od szkoły, uczniów i ich rodziców. Tylko plaża, morze, mewy i spokój, święty spokój – wyraźnie poczuł, że tego właśnie potrzebuje. Pakując walizkę, z premedytacją nie włożył do niej laptopa.

– Odpoczynek, to odpoczynek – odpowiadał ze stoickim spokojem, kiedy Renata lamentowała, że nie będzie miała możliwości układania wieczornego pasjansa i relacjonowania na bieżąco w mediach społecznościach o postępach w zmianie koloru swojego ciała na coraz bardziej złocisty.

I tak, po pięciu godzinach jazdy własną nową hondą, znaleźli się we Władysławowie, nazwanym przez turystów po koleżeńsku — Władkiem. Zrzucili walizki, zabrali parawany i koce i wyruszyli na plażę. Mięli deptak pełen straganów z pamiątkami znad morza: muszelkami, bursztynkami, latarniami morskimi, kołami ratunkowymi, czapkami marynarskimi, foczkami z pluszu i delfinkami na patyku. Karuzele, huśtawki, smażalnie i hamburgery, a nawet oscypki. Przy tych ostatnich zatrzymali się i zakupili dwa na ciepło z żurawinową konfiturą. Szaleć, to szaleć.

Koronawirus zatrzymał w kraju i innych turystów, kierując ich do rodzimych kurortów. Przez deptak przelewał się, rozgrzany popołudniowym słońcem tłum. Gorąca lawa białych ciał płynęła pomiędzy straganami, wpływała do kawiarni i namiotów z chińskimi wyrobami, gdzieś tam zastęgała na ławkach i wystawionych przed lokalami krzeselkach. Powietrze miało zapach wypiekanych w budkach gofrów, lodów i smażonych frytek, które białe tłum kupował i pochłaniał, nie dbając o linię. Wakacje, to wakacje. Waldek był zdania, że żadna dieta nie powinna zakłócać prawdziwego wypoczynku.

Ilość spragnionych wypoczynku nad morzem rodaków, nieco zbiła Waldka z tropu, ale obietnica rychłego plażowania dodała mu skrzydeł. Niecierpliwie maszerując w stronę plaży, uśmiechał się do siebie bezwiednie, a w uszach już słyszał głos fal, rozbijających się o brzeg i bez troski pokrzykiwania mew. Przed oczami miał tajemniczy bezkres zielonoszarych wód Bałtyku, zmieszany ze złotem rozgrzanego piasku. Jego stopy brodziły w spienionej, przyjemnie chłodnej wodzie, a wiatr delikatnie muskał go po twarzy. Z zamyślenia wyrwał go głos Renaty:

– Będzie padać – powiedziała. I miała rację. Dopiero teraz dostrzegł ciemną chmurę, która zawisała nad nimi, niczym wyrocznia. Już zapominał, że pogoda nad polskim morzem lubi się zmieniać szybko i bez uprzedzenia. Poczuł na sobie pierwsze krople, które stawały się coraz bardziej napastliwe, zupełnie jak rodzice jego uczniów. Po chwili deszcz ustąpił, pozostawiając po sobie nieprzyjemne uczucie osaczenia. Waldek próbował pozbyć się go, wycierając ciało ręcznikiem, ale uczucie nie ustępowało. Chcąc nie chcąc zabrał je ze sobą na plażę.

Kiedy doszli na miejsce, słońce na powrót przejęło dowodzenie. Przestudzony deszczem tłum rozlokował się na piasku, zasłaniając dostęp do morza na całej linii brzegowej. Różnobarwne parawany rozkwitły na plaży, bombardując oczy mnogością kolorów. Waldek z Renatą też rozłożyli swój parawan, odgradzając się od innych plażowiczów. Pomimo tej prowizorycznej prywatności, uczucie osaczenia narastało i Waldek postanowił odizolować się od reszty, przykrywając głowę ręcznikiem.

„Spokój, tylko spokój” – powtarzał w myślach.

– Kevin! – tuż nad jego uchem rozdarło się jakieś babsko. Waldek poczuł ból, jakby ktoś brzytwą prze-

jechał mu po plecach.

„Usłyszeć imię Kevin, to tak jakby poznać historię jego życia” – zdobył się na refleksję.

Zamknął oczy i próbował oddychać spokojnie, napawając się chwilą ciszy.

– Orzeszki w karmelu dla ciebie, przyjacielu! – Nad jego głową rozległ się donośny głos plażowego sprzedawcy. – I dla pani i dla pana kukurydza gotowana!

Ja pierdolę. Waldek poczuł, jak krew pulsuje mu w żyłach, a jego ciało zalewa zimny pot. Wzniósł oczy ku niebu i niedowierzająco pokręcił głową. Policzył do dziesięciu, powoli uspokajając oddech.

– Kukurydza w dzień upalny wzmacnia popęd seksualny! – Usłyszał z oddali i poczuł, że łyzy bezsilności cisną mu się do oczu. Z rozgoryczeniem popatrzył na ciało Renaty, które kiedyś wydawało mu się piękne. Westchnął ciężko. Próbował się rozluźnić, przeprowadzając na sobie elementy treningu autogennego Schultza. Pomyślał, że jedynym wyjściem z sytuacji będzie wejście w stan hipnozy. Zaczynał już odczuwać ciężar ciała i wprowadzać go w stopniowy bezwład.

– Mężu, mężu nie bądź głupi, niech ci żona piwo kupi! – Głos sprzedawcy znów rozedrgał w nim wszystkie struny. Czerwień na jego twarzy sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować. Waldek pomyślał, że piwo może być dla niego ostatnią deską ratunku. Kupił dwie puszki i natychmiast wypił je duszkiem. Zimny, gorzki, orzeźwiający płyn spłynął przez ściśnięte gardło, rozlewając się do wszystkich komórek ciała. Wiedział, że najlepsza dla niego byłaby teraz melisa, ale do szału doprowadziło go samo przypomnienie sobie jej smaku.

Piwo nieco go rozluźniło. Pozwolił sobie nawet na wystawienie twarzy do słońca. Dotarły do niego zapachy plaży: zapach rozgrzanych ciał i olejków do opalania. Powoli zaczynał odzyskiwać równowagę.

„Pach” – rozległo się pacnięcie i wraz z dmuchaną piłką, spadła na jego twarz lawina drobnych ziarenek, wciskając się do oczu i ust. Waldek usiadł na kocu i rozejrzał się bezradnie załzawionymi od piasku oczami. Łzy zaczęły spływać mu po twarzy i spadać na ziemię, wsiąkając w złoty pył.

– Najlepsze do chmielu orzeszki w karmelu! – Usłyszał zbliżający się głos. Zacisnął w dłoniach brzegi ręcznika. Wystarczyłoby zarzucić go na szyję sprzedawcy, a potem ścisnąć mocno, coraz mocniej...

– Jedna babcia chorowała. Zjadła kolbę – wyzdrowiała! – Zatkanął uszy dłońmi i podniósł się z koca, gotowy przepchać się przez gorącą masę i rzucić wprost w niezbadaną morską otchłań, dać się porwać falom i odpłynąć z nimi na zawsze.

– Kup kolego kolbę z solą, bo mnie z pracy... – Usłyszał jeszcze za sobą, kiedy wskakiwał w falującą, bezdenną, nieprzejednaną czeluść morza.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Helena Dulcka, dodano 07.08.2020 12:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.